

Wojciech Stanisławski: Tristia nad Gondowiczem

Jeśli bowiem ktoś zna tę prozę, tak precyzyjną, tak zjadliwą, z pewnością jedynym powodem, dla którego nie sprawił sobie jeszcze „Flirtu z Paralipomeną” może być zawodność księgarskich sieci dystrybucyjnych.

Ale, tak naprawdę, po cóż zaprzętać uwagę spektatorów „Czytelnicy publicznej” rekomendacją arcydzieła tak oczywistego, tak obczytanego, tak obecnego w krajowym obiegu czytelniczym jak „Życie i myśli JW Pana Tristrama Shandy”? Staramy się tu wspominać o nowościach, pierwszych wydaniach, tytułach przeoczonych lub wręcz zepchniętych na pobocze przez dziarskich marketingowców kilku wielkich domów wydawniczych. Nic podobnego nie można przecież powiedzieć o arcydziele Sterne’a, żywym w Polsce co najmniej od pierwszego powojennego wydania przekładu pani Krystyny Tarnowskiej (1958), choć przecież tak naprawdę znacznie wcześniej: kto czyta uważnie, dostrzeże Sterne’owskie filuterności u wielkich i mniejszych romantyków, u Jerzego Stempowskiego, a przed kilku laty furorę zrobił artykuł monograficzny Katarzyny Grzymały z IBL, jasno dowodzący, że próbami przełożenia arcydzieła melancholijnego pastora na język polski zabawiał się już – jak doskonale to doń pasuje! – Stanisław Kostka Potocki w chwilach wolnych od ministerialnych zatrudnień czy kreślenia „Podróży do Ciemnogrodu”.

Nie był jedyny, w słowniku terminów literackich funkcjonuje w najlepsze termin „sternizm” na określenie szczególnego typu dygresyjnego meandrowania, któremu z pasją oddawali się polscy pisarze późnego Oświecenia na równi ze Słowackim, prawdziwym jednak nauczycielem gier, persyflaży, błyskotliwych aluzji, rokokowej dworności, stanowiącej jedynie zasłonę dla najbardziej dotkliwych uszczypliwości stał się Sterne dopiero za sprawą tłumaczenia z roku 1958. I odtąd jego wpływ nie słabnie, komukolwiek bliska była *claritas*, ale i pasja pisarzy Oświecenia, od Potockiego i Jana Kotta po Adama Lipszyca (nie przypadkiem przecież autora świetnego, prawdziwie sterne’owskiego posłowania w najnowszym wydaniu „Życia i myśli...”), musiał u Sterne’a terminować, za jego sprawą i pomocą przyswajając i empiryzmy Locke’a. Jakim wzruszeniem przejmuje nas zresztą choćby jeden z egzemplarzy przekładu Tarnowskiej z 1958 roku, który znalazł się w księgozbiorniku Biblioteki Narodowej jako częśćka Archiwum Czesława Miłozza! – szczególnie, jeśli wyobrazimy sobie przez chwilę (nie jest to niemożliwe), że to z tego egzemplarza poeta zaczerpnął anegdotę o nader niefortunnym przypadku wpadnięcia w wycięcie spodni rozgrzanego ziemniaka/kasztana w trakcie subtelnej dysputy teologicznej, którą przytacza w „Widzeniach nad Zatoką San Francisco”. A przytacza ją, wbrew pozorom, w obronie ludzkiej cielesności (i płynących z niej czasem *qui pro quo*) a przeciw tym, których już wówczas postrzegał jako następców gnostyckiej niechęci, by nie rzec nienawiści, do ciała (i Wcielenia).

Można sobie tylko wyobrażać, jak ta niewinna anegdota o sporach Yoricka, Gastriferesa, Eugeniusza i Putatoriusza w kwestii tego, jak najłaciej przynieść ulgę w sytuacji tak kłopotliwej, jak rozgrzany ziemniak/kasztan w niewłaściwej szczelinie stroju rozjuszyłaby przedstawicieli „pokolenia Z”, tak wyczulonego na to, co określają

mianem „boomerstwa”, za które uważają najmniejszą aluzję do cielesności postrzeganej jako coś sympatycznego i zabawnego zarazem. „ – Jeżeli jest to część ciała delikatna i dająca się łatwo owinąć – Odpowiada zarówno jednemu, jak i drugiemu warunkowi, przerwał Putatoriusz, kiwając z emfazą głową i kładąc dłoń na części, o której była mowa, jednocześnie zaś podnosząc prawą nogę dla większej wygody i lepszej wentylacji – Skoro tak się rzecz przedstawia, rzekł Eugeniusz, radziłbym ci, Putatoriuszu, abyś pod żadnym pozorem nie próbował jakowychś niepewnych środków; jeżeli jednak pošlesz do najbliższego drukarza i zaufasz tak prostemu lekowi jak miękki arkusz zdjęty dopiero co z prasy, – wystarczy, abyś owinął dokoła sparzone miejsce. – Chociaż wiem, zabrał głos Yorick (który siedział obok swego przyjaciela Eugeniusza), że wilgotny papier wydziela orzeźwiający chłód, – to jednak mniemam, iż jest on zaledwie czynnikiem pośrednim – i że olej i farba drukarska, którym ów papier jest obficie nasycony, mają znaczenie lecznicze”. Okrzyki oburzenia lub piski zakłopotania, jakie mógłby wywołać ten krótki cytat, nie zmieniają faktu, że jego kunszt ograniczony jest wyłącznie przez fakt, iż w krótkiej recenzji nie sposób wykorzystać całego bogactwa tricków typograficznych, jakimi posługiwał się Sterne; jak bowiem dowiadujemy się z noty edytorskiej, w obecnej edycji PIW, same tylko pauzy „mają: 3 mm i 6 mm – te są najczęstsze; 10 mm – rzadsze; 5 mm, 14 mm, 18 mm, 21 mm – nieliczne; a nawet 30 mm (w przypisach i mottach pauzy są odpowiednio krótsze)”.

Jeśli jednak zachowujemy przekonanie, że „Życie i myśli JW Pana Tristrama Shandy” są należycie przyswojone polskim czytelnikom, przynajmniej tym bardziej świadomym materii pisarskich; - a zarazem uznajemy, że próby pobieżnego streszczenia lub omówienia tego arcydzieła Oświecenia, przytem zaś ponadczasowego wzorca dygresyjności, żartobliwej powagi, prestidigitatorskiej filuterności,

uczonego żartu, barokowej erudycji (ale też bezlitosnej drwiny z erudycji traktowanej zbyt serio; dość przypomnieć, że spory kęs „Życia i myśli...” jest okrutną i drobiazgową parafrazą „Anatomii melancholii” Burtona, jednego z najbardziej uczonych dzieł nowożytnej Europy) muszą się okazać porażką lub czymś niewiele więcej niż jałowym blurbem (co jest tylko innym, wyjątkowo dotkliwym określeniem porażki); - że każdy, kto wziął do ręki traktat Sterne’a skazany będzie na nieudane próby dokonania niemożliwego, to jest dorównania figlarnej aluzyjności i dwornej grzeczności brytyjskiego autora – po cóż w takim razie rekomendować w „Czytelni publicznej” ten arcy-tytuł, wznowiony przez PIW w ramach prestiżowej serii prozy światowej?

A choćby po to, by uświadomić sobie i innym, jak nieśmiertelne jest to pragnienie naśladowania Sterne’owej przewrotności, aluzyjności, kryptyczności, zonglerki i pasji; pragnienie, które rozpoznać można nie tylko u autorów tak różnych, a przyznających się do terminowania u Sterne’a, jak Kundera, Joyce i Pynchon, nie tylko u z trudem rozpoznawalnych recenzentów, ale i u takich mistrzów eseju polskiego jak Jan Gondowicz, którego „Flirt z Paralipomeną”, szósty bodaj ze zbiorów szkiców wydawanych przez ostatnią dekadę, w większości nakładem oficyny Nisza, ukazał się tego mijającego lata w Iskrach.

Jeślim żywił bodaj cień nadziei, że wskazanie pokrewieństw między Sterne’m a Gondowiczem może zostać uznane za ułankowo bodaj oryginalne, nadzieja ta szczyła w chwili, gdy przypominałem sobie, że polski eseista i erudyta jest autorem przedmowy do poprzedniego polskiego wydania „Życia i myśli...”, z roku 1995, przedmowy, w której złożywszy Anglikowi hołd nieporównanie korniejszy i zgrabniejszy niż wszystko, co zdołałem powyżej skreślić, dokonał i stosownego *homagium*, wspomniawszy na swe terminowanie w Sterne’owskiej

szkole. Skutkiem tego terminowania jest zresztą nie tylko porównywalny kunszt stylu, lecz i fakt, że każdy, kto chciałby zarekomendować polskim czytelnikom najnowszego Gondowicza milknie podobnie, jak w przypadku Sterne'a. Jeśli bowiem ktoś zna tę prozę, tak precyzyjną, tak zjadliwą, z pewnością jedynym powodem, dla jakiego nie sprawił sobie jeszcze „Flirtu z Paralipomeną” może być zawodność księgarskich sieci dystrybucyjnych. Jeśli zaś nie zna – jak w ogóle można w akapicie lub dwóch zarekomendować autora, który w krótkim szkicu „Lewiatan” (sięgnąłem poń na chybił trafił, skuszony precyzyjnymi koordynatami geograficznymi - 48°52'32''S, 123°23'33''W – najbardziej odludnego miejsca na Ziemi, zwanego nie bez kozery Punktem Nemo) dokonuje brawurowego odczytania zmiennej tożsamości Kapitana Nemo, wiąże Verne'owską trylogię z „Moby Dickiem” Melville'a, wplata wątki analizy oceanograficznej i weksylologicznej, ujawniając ostatecznie zarówno bezmiar obłudy, jak cichą konsekwencję francuskiego powieściopisarza?

Podobne kwiatki zdarzają się co krok, erudycji Gondowicza dorównuje jedynie jego dezynwoltura; lekkość i beztroska, z jaką suflowane są nam zupełnie prymarne odczytania pisarzy z dwóch ulubionych obszarów czasoprzestrzennych autora (Poe, Verne, France i Proust, europejski i amerykański przełom wieku XIX i XX, z osobnym księstwem udzielnym przyznanym Kafce, lub polski modernizm i jego następcy, od Schulza, Gombrowicza i Witkacego po Lema) sprawiają, że – jak pisze Michał Otorowski w szkicu poświęconym Gondowiczowi, który ma się ukazać w niedalekim czasie – o jego głębokim wpływie na polskich czytelników będzie się jeszcze pisało niemało, gdy zetleją dzisiejsze hierarchie. Jest Gondowicz, wedle Otorowskiego, największym dziś mistrzem myślenia arabeskowego. Które od Sterne'a wszak bierze początek.

Oczywiście, jest przy tym Gondowicz samoswój, lżejsze, niby suflet z suchego lodu, są jego rubaszości, nie ma już potrzeby wskazywania czynem, to jest piórem, meandrów i mielizn konceptów powieściowych, co tak fascynowało Sterne'a. A jednak tym, co odróżnia go od angielskiego mistrza najbardziej, nie są dwa z okładem wieki, które ich dzielą, brak ambicji fabulatorskiej, mniej ohochoce zmyślanie fikcyjnych tytułów i imion z koprolicznym nieledwie żarem czy podejmowanie gier ze spuścizną Gombrowicza raczej niż Cervantesa. Odróżniają go namiętności.

Sterne bowiem, jak wiadomo, dworuje sobie namiętnie i zachwycająco: dworuje sobie z mężczyzn i kobiet, głupców i mędrców, priapów i impotentów, przeoryszy z Quedlinburga wraz z towarzyszkami oraz luterańskich doktorów, wigów i torysów. I fawory swoje oraz szpile (a być przyszpilonym przez Sterne'a to już fawor) rozdziela równie hojnie, co szeroko.

Gondowicz zaś w swych szkicach, skwapliwie opatrzonych datami (a pochodzą one, nie da się ukryć, z jednym czy dwoma wyjątkami, z oktolecia 2015-2023) nieodmiennie niemal w poincie każdego niemal ze swych szkiców dotkliwie dopieka ohydnemu przeciwnikowi. Twór ten bywa raz osobowy, raz zaś mnogi, czasem przybiera rysy ducha czasów, czasem elektoratu, czasem po witkaczańsku groteskowego, lilipuciego i okrutnego dyktatora. Kunszt eseisty sprawia, że przeciwnik ów jest niemal doskonale bezimienny: raz bodaj pada, jako charakteryzująca go cecha, „religia smoleńska”, raz zaś dom jednorodzinny położony w jednej z cieszących się większym prestiżem dzielnic stolicy. Są to naturalnie wycieczki dokonywane na łapkach kota, i to jednego z mniejszych ras (a trzeba wiedzieć, że Gondowicz

jest zarazem felinologiem i felinofilem!): kota singapurskiego, munchkina czy odmiany Devon rex. Gdy jednak raz dostrzeżemy ten wzór, gniewna, drażliwa i przepełniona pogardą dla „tamtych” pointa pojawia się w każdym szkicu dręcząco i powtarzalnie niczym wirująca płyta, tnące powietrze wahadło, pijacka piosenka czy złośliwości z wpisów Zbigniewa Hołdysa, Tomasza Lisa czy Krystyny Jandy. A są to przecież autorzy niezdolni, niczym Guliwer, rzucony między kaszty typografa w krainie Brobdingnag - do udźwignięcia nawet trzymilimetrowej pauzy - nie tylko u Sterne’a, lecz i u Gondowicza.

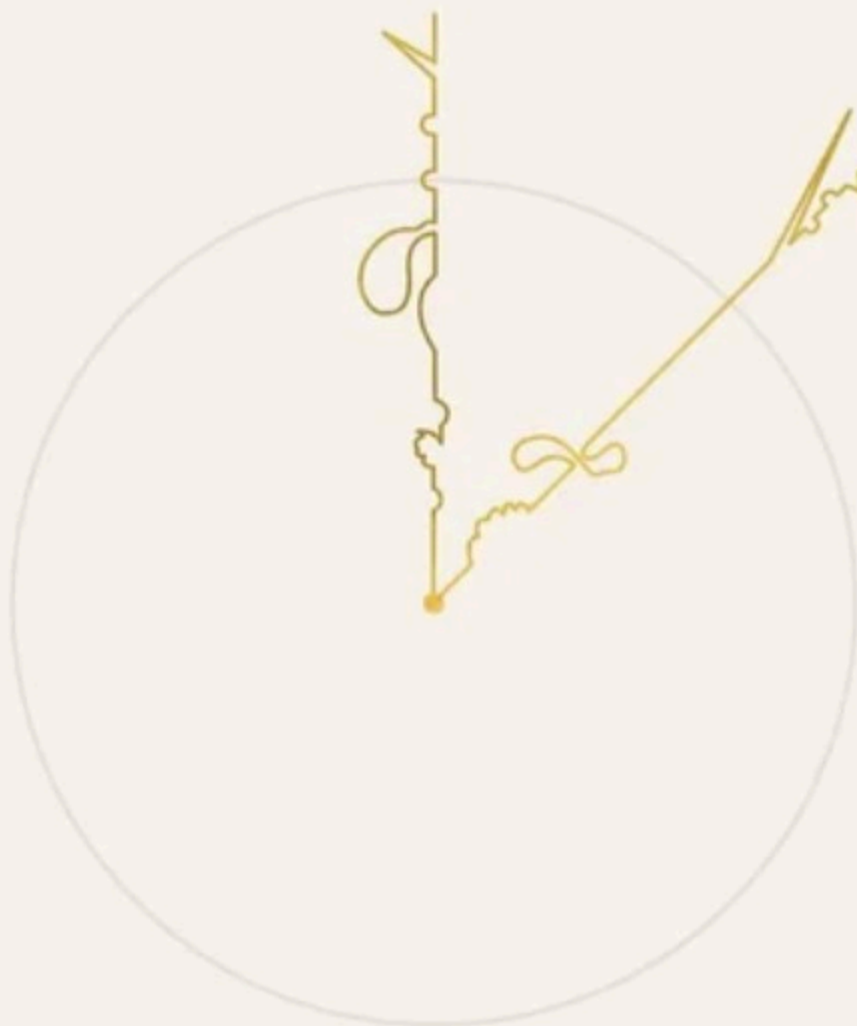
Wojciech Stanisławski

Laurence Sterne, *Życie i myśli JW Pana Tristrama Shandy*, tłum. Krystyna Tarnowska, posłowie Adam Lipszyc, PIW, Warszawa, 2024

Jan Gondowicz, *Flirt z Paralipomeną. Mitologie*, Iskry, Warszawa, 2024

Laurence
Sterne

Życie i myśli
JW Pana
Tristrama
Shandy



Jan Gondowicz
Flirt
z Paralipomeną
MITOLOGIE



Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► Przeczytaj wcześniejsze

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
